OPIEKUN DOMOWY.

WARSZAWA dnia 19/31 Grudnia 1867 r. | Nr 53 (dodatkowy). | Rok III.

SAMOBÓJCA.

POWIEŚĆ KARPACKA.

(*Dokończenie.*—Patrz Nr. 52).

Ponieważ przy ryczałtowem przesłuchaniu na miejscu pogorzeli niesłuchano świadków na osobności, Mrożek mógł słyszeć wszystko i domyślił się łatwo, do czego zeznanie Sobka zmierzało...

— Nie ma co czekać aż mnie Antek dobije — rzekł do siebie, — trzeba zabrać węzełek i w drogę, póki czas.

Zakręcił się w gromadce ludzi i zniknął.

Sobek rozwlekle opowiedział spotkanie z Mrożkiem i starym Świtem. Z zeznania jego jednak było widocznem, że starzec słusznie utrzymywał, iż odbywał podróż z człowiekiem, który wypierał się że jest bakałarzem skalickim. Sobek oświadczył nawet, iż jest gotów przysiądz, że ów człowiek był tym samym Janem Świtem którego widział przed chwilą.

— Jest w tem coś niewytłómaczonego — rzekł jeden z urzędników, — trzeba go skonfrontować z bakałarzem.

Kazano przywołać Mrożka, ale go znaleźć nie było można.

Nikt nie wpadł na myśl ucieczki. Sobkowi polecono tylko zatrzymać się, dopóki Jan Świt nie przyjdzie i zaczęto badać Antka.

Antek jedynego ratunku szukał w wyznaniu prawdy. Zaczął zeznanie swoje od tego, że ani zabił, ani podpalił, a chociaż mu fantazja przyszła żeby zostać opryszkiem, to przecież nawet jako opryszek tak mało złego zrobił, że mu to wielmożny sąd przebaczy jak prawdę o wszystkiem powie i puści go na wolność, żeby się mógł ożenić z Halką, bo bez niej żyć mu niepodobna.

Zeznał następnie wszystko, nie pomijając ani napadu Mrożka, ani sprawy z listem ani najmniejszego szczegółu.

W zeznaniu jego było tyle szczerości, iż nie ufać mu nie było można.

Błagał ze łzami po ukończeniu swoich wyznań które dużo czasu zabrały, żeby mu rozwiązano ręce, przyrzekając, że będzie spokojnym dopóki go sąd nie puści.

Widząc go złagodniałym i zmiękczonym, uczyniono zadość jego prośbie i kazano go trzymać w oddzielnej dobrze opatrzonej izbie pod strażą.

Zeznania Antka tak dalece kompromitowały bakałarza, że nowe przesłuchanie go stało się już teraz nie prostą formalnością lecz koniecznością.

Żandarmi otrzymali rozkaz przyprowadzenia natychmiast Mrożka i związania go w razie oporu.

Wszystkie poszukiwania jednak okazały się bezskuteczne.

XI.

Obmyślając swój plan, Mrożek obmyślił sobie zarazem miejsce i sposób ucieczki na przypadek, gdyby nieudanie się jego zbrodni zmuszało go w oddaleniu się tajemniczem szukać ostatniego ratunku.

Drogę jaką do tego obrał wyszukał tak zręcznie, iż znać było, że nie poraz pierwszy przychodziło mu uciekać górami przed więzieniem.

Szczęście zdawało się sprzyjać mu jeszcze w tym razie, chociaż go opuściło we wszystkiem. Żaden z obecnych, zajętych dramatem który się odgrywał przed ich oczyma nie zwrócił na niego uwagi, pod czas gdy się wymykał i zmierzał ku jednemu z najdzikszych wąwozów jakie otaczały Skalice.

Dostawszy się tam znikł w rozpadlinie skały tak wązkiej i płytkiej na pozór, że do niej nikt nigdy nie zajrzał — nie była bowiem na pozór niczem tak ciekawem, ażeby warto było drapać się do niej przez gęste i kaleczące zarośla.

Ukrył się w skale i myślał tam czekać, dopóki niebezpieczeństwo nieprzeminie.

— W nocy wymknę się ztąd — myślał, — a wtedy niech piszą na Berdyczów.

Rozpatrzył się w tej kryjówce, pragnąc w niej znaleźć sobie najdogodniejsze miejsce do przepędzenia dłuższego czasu. Tak rozglądając się spostrzegł, że w górnej części rozpadliny znajdował się rodzaj podłużnej ciemnej niszy dosyć głębokiej, żeby pomieścić w sobie człowieka, a czarnej i posępnej jak noc...

Wdrapał się tam z niemałym trudem, położył się i ochłódł.

— Tutaj, choćby nawet zajrzeli — mówił do siebie, — nie zobaczą... jestem bezpieczny... nikt tu zamną nie wejdzie... ktożby chciał krwawić sobie ręce, jak ja pokrwawiłem nim się tutaj dostałem?... ktożby przypuścił, że takiej drogi szukać będę do ucieczki?...

Przez czas jakiś był spokojnym, spoczywał.

— Ba! — rzekł do siebie po niejakim czasie — gdyby tu przyszli żandarmi nie będą się drapali za mną, to pewna... lecz mogą popróbować pałaszami czy kogo nie ma... Gdyby można było posunąć się głębiej jeszcze!...

Zaczął się czołgać dalej grotą, podobną do podziemnego kanału i tak ciasną, że przez nią ledwie pełznąc przesunąć się było można.

W dalszym ciągu grota rozszerzała się cokolwiek i powolną pochyłością szła ciągle ku górze.

Wsunąwszy się w jej załom Mrożek mógł się zatrzymać, pewny że namacać go już nie było podobna, nie zatrzymał się przecież, zdawało mu się bowiem, że w końcu tego podziemnego kanału wyrytego zapewne przed wiekami przez zaschłe oddawna źródła, ciemność przestaje być zbyt gęstą.

— Może mi się w oczach migocze, że tam widzę jakieś odbicie światła — myślał, — trzeba się dostać aż do końca tej jakiejś żyły skalnej, w którą tu odkryłem...

Z trudnością i powoli posuwał się dalej omackiem. Ciemność rzedniała już wyraźnie i po nie-

jakim czasie spostrzegł zarosłe gęstemi krzewami wyjście z podziemia.

Dotarł tam...wysunął najprzód głowę, później pół ciała, następnie wyszedł cały, powoli, oglądając się ostróżnie.

Znajdował się w ciasnym a głębokim wąwozie. Podniósł oczy w górę i zobaczył tylko zarosla, które rosnąc bujnie po obu bliskich siebie brzegach rozpadliny, plątały się z sobą i tworzyły niby dach zielony nad jego głową.

Odgadł natychmiast że znajdował się w rozpadlinie, którą w Skalicach miano za bezdenną przepaść i w której noga ludzka nigdy nie postała.

— Tędy iść można dalej—mówił do siebie,—niepodobna, żeby gdzieś w końcu jakiego wyjścia nie było daleko już za Skalicami; jeżeli zdołam wydostać się na góry, przedrzeć przez jaki szczyt, tak że mnie nikt nie spostrzeże i dotrzeć wreszcie w Liptowskie, na Węgry—jestem ocalony.

Szedł o ile można było najśpiesznie, pokonywając przeszkody jakie na każdym kroku stawiał grunt dziewiczy. Pot strumieniami spływał mu z czoła, lecz nie czuł potrzeby spoczynku. Obawa wykrycia popychała go naprzód, nadzieja udania ucieczki ciągnęła i wabiła do siebie; z temi dwiema przewodniczkami, zapas sił i energji pomnażał się w dziesięcioro.

Wąwóz rozszerzał się lub zwężał, u góry jednak ciągle miał szerokość niewielką. Rzadko kiedy przez pokrywające go u wierzchu zarośla przebił się wązki skrawek Nieba, zwykle dach zieloności tylko widać było nad głową. Niekiedy dach ten stawał się nieprzebitym dla światła nawet, w wąwozie robiło się ciemno. W górnej jego części wisiał odłam skalisty, który stanowił niby most pomiędzy obydwoma brzegami. Tunele tego rodzaju były dosyć liczne i długie.

— Nie dziwię się, że ludzie nie zajrzeli—zwrócił uwagę Mrożek, — od góry wyglądać tu musi niby szereg wązkich, długich a głębokich nieprzejrzanie przepaści—kotlin, nie mających z sobą żadnego związku. Takiego podziemnego krużganku do jakiego się dostałem, nikt się tu domyślać nie może.

Przeprawa którą tu opisujemy, może się wydać łatwą czytelnikowi, tak przecież bynajmniej nie było. Dno wąwozu którym się drapał, przedstawiało tysiące przeszkód, tym trudniejszych do zwalczenia, że zarośla w górnej części niekiedy bardzo gęste, niewiele dopuszczały światła. Przez owe tunele naturalne, wyżłobione czy wiekową pracą jakiegoś zamarłego potoku, czy innym niezbadanym kataklizmem Przyrody, trzeba było przebierać się omackiem... panowała w nich ciemność przerażająca.

Nie trudno pojąć że taką drogą postępując, Mrożek po kilkogodzinnych wysileniach, nie mógł się jeszcze bardzo oddalić od Skalic.

Szedł więc dalej upatrując już miejsca, któremby się na górę wydostać było można i zbadać gdzie się znajduje oraz w jakim kierunku podążać ma dalej.

Jedyną żyjącą istotą jaką spotykał w tej przeprawie, były długie lśniące się węże, które zdumione widokiem człowieka wkraczającego po raz pierwszy w ich państwo, uciekały przed nim pośpiesznie, wślizgując się na boki rozpadliny i przypatrując mu zdaleka.

Po kilku godzinach drogi, nad którą uciążliwszej wyobrazić sobie nie można, Mrożek natrafił na dowód, że niebył pierwszym człowiekiem który znajdował się w tem miejscu.

Na samem wyjściu z jednego z owych naturalnych tuneli, leżał w poprzek szerokości wąwozu doskonale dochowany szkielet człowieka.

Mrożek zatrzymał się przerażony, nie śmiejąc przejść przez szczątki tego, co przed nim się dostał do tajemniczego wnętrza tej przepaści.

— Kto tu się dostał, to taki los go czeka—rzekł do siebie, — taki więc los czeka i mnie... Od ilu lat ten biedak dostać się tu musiał, kiedy ani szczątka odzieży, ani kawałka ciała na jego kościach nie zostało?... Jak umarł?... z głodu. Jakie przebył męczarnie... a!!...

Kroku nie mogąc postąpić stał i rozmyślał.

— Czy mam się zdecydować na śmierć taką?... Cóż mnie gorszego czekaćby mogło gdybym wrócił?...

Po niejakim namyśle zrozumiał jednak, że człowiek którego kości miał przed sobą, nie mógł się tam dostać żywcem.

— Wyszedłby przecież tędy którędy ja przyszedłem, albo wydrapałby się w górę, tak jak ja wydrapać się myślę. Nie... on szedł górą, po skale co utworzyła ten tunel obsunął się i spadł, a jak spadł tak leży... Nie mogło być inaczej, nie traćmy ducha... idźmy dalej.

Z godzinę jeszcze walcząc z coraz nowemi przeszkodami, Mrożek doszedł wreszcie do miejsca, z którego wydrapanie się na wierzch nie zdawało się niepodobieństwem, jakkolwiek należało do bardzo śmiałych przedsięwzięć.

Głód mu dokuczał straszny. Miał w węzełku cokolwiek jadła, o którem na wszelki przypadek nie zapomniał posilił się więc, rozpatrzył jak i którędy drapać się, na górę i zaczerpnąwszy nieco nowych sił, przywiązał swój węzełek do siebie i rozpoczął wydobywanie się z przepaści.

Trwało ono półgodziny zaledwie, lecz w tym przeciągu czasu każda sekunda groziła obsunięciem się i śmiercią.

Takie pół godziny, to wieczność.

Wydostawszy się nad brzeg przepaści, Mrożek nie miał tyle siły, ażeby się rozpatrzeć na około siebie.

Mimo niebezpieczeństwa jakie mógł łatwo przypuszczać, nie wiedząc zupełnie gdzie się znajduje, położył się na brzegu i dosyć długi czas przeleżał bez poruszenia.

Słońce dobrze miało się ku zachodowi, gdy odzyskał przytomność, siły, otuchę.

Wstał, zmierzył okiem widnokrąg i uspokoił się. Znajdował się w miejscu, z którego Skalic widać nie było, w miejscu nie uczęszczanem przez ludzi.

Wysokie nagie skały sterczały do koła prawie, po za niemi rysowały się w oddali ostrokręgowe szczyty znanych mu dobrze gór gruppy tatrzańskiej i niby drogowskazy mówiły, jaki ma obrać kierunek, aby się udać tam gdzie pragnął.

W górach jednakże niezawsze się idzie tam gdzie się chce, najczęściej iść trzeba tam gdzie można.

Jedyna dostępna droga, oddalająca od Skalic jaką miał przed sobą, prowadziła ku Krywaniowi.

Nie mając wyboru puścił się drogą, choć wiedział o trudnościach jakie przedstawiała dla człowieka, który ją miał odbywać bez żadnego innego oprócz swych oczu przewodnika.

Szedł dopóki oczy służyć mu mogły, nie stracił ostatniego brzasku dnia, ostatniego promienia księżyca, ostatniego wysilenia swoich nóg.

Wiodło mu się: wdrapał się wysoko, bardzo wysoko. Zdawało mu się, że doszedł aż do miejsca, o które rozbijają się chmury: zieloności nie było tam już żadnej, ślizgał się po nagich granitach, ale szedł.

Gdy księżyc ukrył się za górą i gruba ciemność zaległa okolicę, padł na goły kamień i usnął bezwładny jak posłanie, na którem spoczywał.

Spał snem głazu i nie obudził się aż rano. Bywają położenia, w których sumienie nawet tak się znuży że śpi.

Gdy się obudził był już dzień, lecz dzień do innych niepodobny.

Mgła tak gęsta o jakiej nie miał wyobrażenia, kryła nie przejrzanym płaszczem Krywań.

Podniósł się, stanął i nic nie widział dokoła. Spojrzał na ziemię, którą miał pod stopami i nie obaczył swoich nóg.

— Zginąłem! — jęknął — taka mgła to śmierć... trwać może dzień... trwać może dwa dni nawet...żadne oko przez nią nie przejrzy, kroku w niej postąpić nie można!

Podnosząc się pozostawił swój węzełek na ziemi. Z niepokojem obejrzał się teraz za nim i nie widział go.

Zadrzał na myśl, że może stracić wszystko co miał, nawet ten mały i niedostateczny zapas żywności, jaki mu jeszcze pozostawał.

Z gorączkową szybkością upadł na ziemię, chcąc czołgając się odszukać miejsce, w którem go zostawił, a które nie mogło być dalej jak na krok jeden odległe.

Fatalność chciała, że w tem gorączkowem ciśnięciu się całem ciałem na skałę, potrącił nogą o swótłomoczek i ten po dość pochyłym stoku odtoczył się daleko.

Wszystkie poszukiwania na nic się teraz zdać nie mogły.

— Skazany jestem na śmierć — rzekł do siebie —jeżeli nie dziś z głodu, to jutro lub pojutrze z nędzy! Piekło mnie ściga i pognębia... czyż mogę myśleć że je zwalczę? Czy nie lepsza śmierć prędka, od tego powolnego konania?... Przeznaczony widać jestem na samobójcę... odgrywałem już raz tę rolę... czy nie byłoby dobrze wystąpić w niej naprawdę?... Nie chciało mi się nigdy wierzyć w to co księża gadają, ale czy mają racją czy nie, stracić na tem wcale nie mogę. Jeśli jest jakie piekło, czyż mi będzie gorzej w piekle niż tu?... jeżeli człowiek po śmierci w nic się obraca, czyż nie lepiej być niczem niż tem czem jestem?... Szkoczę za mym tłomoczkiem i będzie po wszystkiem.

Z takiemi myślami powstał, odszukał nogą miejsca, które mu się zdawało najspadzistsze i rzucił się w nie jak mógł najgwałtowniejszym skokiem.

Noga jego natrafiła na grunt pod sobą i zamiast upadać, instynktownie biedz zaczął szybko po pochyłości.

Bieg taki wpośród mgły, co krok bardziej przyśpieszony, mógł być i powinien był być śmiertelnym.

Na końcu drogi zawsze znaleźć się musiała otwarta paszcza przepaści lub jaki głaz ostry i twardy, o który rozbić by się musiał.

Los jednakże i tutaj chciał inaczej jak Mrożek.

Spadzistość którą obrał na ślepo, nietylko nie przedstawiała przeszkód, lecz coraz łagodniejszą się stawała, wkrótce zaś zamiast spadać na dół również łagodnie wznosić się do góry zaczęła.

Rozpęd Mrożka słabł i wolniał stopniowo, aż nareszcie gdy miał ustać zupełnie, noga jego potknęła się o coś i upadł.

— Piekło! — zawołał — nic mi się nie stało! tu nawet życia odebrać sobie niepodobna. Czuję, że nie będę już miał odwagi na spróbowanie powtórne takiego kroku. Na szatana, szkoda żem się tej głupiej myśli czepił... teraz odszukanie węzełka stało się jeszcze bardziej niepodobnem.

— W nieopisanej rozpaczy, w boleści która go o wściekłość przyprowadziła, dlugo nieruchomy pozostał na miejscu, w które go los rzucił.

Co począć? jak postąpić?... tych pytań nawet zadać sobie nie śmiał.

W niepojętych męczarniach przetrwał do południa, mgła nareszcie rzednieć poczęła.

Z rozszerzaniem się koła jakie wzrokiem swoim mógł przebić, zaczęła się w jego duszy rozżarzać jakaś iskierka nadziei.

— Znajdę mój węzełek i pójdę dalej — mówił do siebie.

I zaczął szukać czołgając się po skałach.

W milczeniu, powolnie, systematycznie, przesuwał się z miejsca na miejsce, z każdego punktu zasięgał wzrokiem jak mógł najdalej i prowadził tę pracę nieprzerwanie najmniej sześć godzin.

Była ona przecież daremną.

Głód mu dokuczał straszny.

— Gdybym choć znalazł jadło, które w nim było — myślał, — wyrzekł bym się wszyskiego... bez grosza dobrałbym się do Węgier, a tam poradziłbym sobie.

Wreszcie zrezygnował się na stratę.

— Prędzej śmierci z głodu doczekam, niż na zgubę moją natrafię—rzekł do siebie,—kiedy więc muszę jeszcze żyć, więc trzeba rozsądniej użyć tego czasu.

Postanowił zejść niżej, sądząc że w drodze spotka jakiego człowieka, który go zechce posilić.

— Wracam tam, gdzie mnie może szukają—mówił w duchu, — ale cóż począć?... Tutaj śmierć pewna, a tam śmierć także na mocy wyroku... lecz gdy by mnie nawet złapano... od czegóż rozum?... nim się formalności dopełnią, zostaje tysiąc szans ucieczki...

Szedł nazad, dodając sobie sił nadzieją posiłku.

Po kilku godzinach drogi, która go wycieńczyła doostatka, spostrzegł zdaleka jakąś postać ludzką...

Zmęczenie wyczerpało go zupełnie; widok ten przecież dodał mu sił, skrzydeł prawie.

Gdy się zbliżył tak że mógł poznać kogo mu los przysyła, stanął jak wryty na miejscu...

Był to obłąkany Janek Gąsienica... drapał się pod górę, wydając od czasu do czasu niezrozumiałe wykrzyki, niekiedy znów zawodząc żałosne lub wesołe piosenki.

Jakiś strach instynktowny przejął Mrożka w pierwszej chwili, tak że nie śmiał się zbliżyć do swojej ofiary.

Głód jednak przemógł obawę i wkrótce zawołał na niego:

— Janku! ja konam z głodu... nie masz chleba...

Głos bakałarza przypomniał się obłąkanemu. Janek zatrzymał się przez chwilę.

— Oho! bakałarz woła—rzekł,—o! ja pamiętam

co mi powiedział... błyśnij mu nożem przed oczyma, to ucieknie i nie powróci... A! mam go przecież... wystraszę go ze wsi...

I biorąc bakałarza za Antka puścił się ku niemu, wywijając nożem w powietrzu...

Mrożek dobył ostatnich sił i zaczął uciekać przed warjatem, jak lis zmieniając co chwila kierunek.

Rozpoczęła się pogoń, w której bakałarz strudzony i wycieńczony prędkoby uledz musiał, gdyby nie to, że ścigającym był obłąkany, który jego nagłych zwrotów przewidzieć nie mogł.

Uciekając Mrożek krzyczał myśląc, że głosem da się poznać napastnikowi i przekona go o pomyłce. Warjat pojmował głos, ale osobę brał za Antka.

— Dobrze bakałarzu... wystraszę go ze wsi... tak jak mówicie,—wołał nie dając innej odpowiedzi ściganemiu.

— Ależ to ja... bakałarz... Antek za tobą...

— Drasnę go tylko pod żeberko, jeśliby stanął... oho! już on do Skalic nie powóci...

— Zmiłuj się, opamiętaj się Janku... to ja... Jan Świt... bakałarz...

Zaklęcia, prośby, błagania były daremne.

Siły Mrożka wyczerpały się do ostatka.

— Janku! litości!...ja nie Antek,—zawołał i padł na ziemię.

Janek przyskoczył do niego.

— Uciekaj bo cię zarżnę —wrzasnął z całych piersi,—bakałarz zaklął nóż... muszę cię wystraszyć, albo zabić... uciekaj!...

Mrożek chciał dobyć jeszcze sił. Podniósł się, usiadł, ale nie mógł stanąć na nogi.

— Łaski!.... Janku!... to nie ja,—wyjęknął.

— Uciekaj!—jeszcze raz powtórzył obłąkany.

— Nie mogę—szepnął Mrożek,—ja nie Antek... puść mnie...

Janek podniósł nóż w górę... bakałarzowi ciemno zrobiło się w oczach.

— Nie możesz... masz...

Z temi słowy, obłąkany uderzył go nożem w piersi...

Uderzył i nie wyjął noża. Krew nawet nie trysnęła z rany.

Mrożek przewrócił się na wznak.

Janek patrzał w niego przez chwilę osłupiałemi oczyma.

— Oho! widzisz — rzekł wreszcie, — przybiłem cię do ziemi i tak tu zostaniesz na zawsze, nie powrócisz do Skalic... Halka nie dla ciebie... Halka moja... bakałarz tak powiedział... bakałarz tak kazał.

To powiedziawszy, warjat śmiejąc się i chychocząc, lekki jak piórko pobiegł dalej i znikł za chwilę z obumierających oczu bakałarza.

Żelazo tkwiło ciągle w ranie, tamowało odpływ krwi i opóźniało chwilę świerci, która jednakże była nieuchronną, o ratunku bowiem myśleć nawet nie było można.

Mrożek to wiedział, cierpiał najstraszliwszą więcej moralną niż fizyczną męczarnią, mógł ją zakończyć w jednej chwili wyrywając żelazo z rany, brakło mu jednak odwagi czy siły.

— Stało się — myślał, — zgubiłem siebie sam, albo chyba jest Bóg co mnie ukarać postanowił... nigdym w to nie wierzył... dziś to widzę... ten nóż przekląłem sam na siebie.... od niego ginę...

Kwadrans upłynął... umierający nie wydał jeszcze ostatniego tchnienia, oczy jego przymykały się ciężko, otwierał je z wysileniem, otwierał jednak... nie chciał wszelako umierać.

W tej chwili człowiek jakiś w zwykłem góralskiem ubraniu stanął nad nim, przypatrzył mu się ciekawie, poznał go i rzekł pół głosem:

— Jan Świt... tutaj... śpi...

Mrożek usiłował otworzyć oczy.

— Kto mnie woła? — szepnął słabym głosem.

— To ja... co wam jest bakałarzu.

Głos poznał Mrożek, nie mogąc już widzieć oczyma.

— Ty, Antek... tutaj...

— A tu — odrzekł przybyły, — prowadzili mnie do więzienia.... uciekłem z drogi, pójdę na Węgry, przystanę do wojska... mówią że wojna będzie.

— Umieram... ratuj mnie, — szepnął jeszcze ciszej bakałarz.

Wtedy dopiero Antek spostrzegł śmiertelną bladość twarzy i nóż tkwiący w piersiach Mrożka.

— Co wam bakałarzu?.... wy ranni.

— Ranny... och! tak.... zabiłem się sam słuchaj.... Antku...jest Bóg co widział wszystko i co za złe karze... ludzie znieśli tortury... lecz On je ma... i karze niemi kogo chce... mgła... głód... zaklęty nóż... oh!... ratuj mnie!

Ostatni wyraz wykrzyknął głosem prawie potężnym. Okropny ból czuł w całym sobie.

Antek chwilę stał przerażony, nie wiedząc co począć.

Po chwili schylił się i jednem, silnem szarpnięciem wyrwał nóż tkwiący w piersi rannego.

Pokazało się trochę gęstej, czarnej krwi... twarz Mrożka skrzywiła się, ciało kilka razy skurczyło się konwulsyjnie...

Potem znieruchomiał, zesztywniał i nie poruszył się więcej.

. . . .

Tak zię zakończył dramat, którego widownią były góry tatrzańskie, a łyse ich szczyty widzami.

Sporo już czasu ubiegło od tej chwili, lecz dotąd jeszcze w rozmaitych miejscowościach Podhala, starzy gazdowie opowiadają swym wnukom i przychodniom z dolin, poodrywane i przeinaczone epizody smutnej powieści o świętym bakałarzu, szalonym Janku, Antku opryszku, spalonym karczmarzu, o panu co się krwią zalał i o pięknej dziewczynie ze Skalic, co przebierała w kochankach.

Słuchający tych szczegółów, zadaje zwykle opowiadaczowi pytanie.

— A cóż się stało z Halką!...

— Ponoć wyszła niedługo za mąż, — odpowiada zagadnięty, — ale trafiła na ladaco człowieka i zmarnowało się kobiecisko.

A na tem kończy się powieść...

Wołody Skiba.

OPIEKUN DOMOWY

w 1868 roku, kosztować będzie jak następuje:

w Warszawie miesięcznie jak dotąd . . . . . kop. 20 (groszy 40)

Na prowincyi w Królestwie i Cesarstwie prenumerowany w Redakcyi *w opaskach* kwartalnie jak dotąd . . kop. 75 (złp 5)

w Królestwie i Cesarstwie *w kopertach*, prenumerowany w Expedycyi Gazet lub na Stacjach pocztowych . . . . Rs. 1.

Koniec 1867 Roku.

W Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej—Redaktor: Adam Mieczyński.